



Fot. E. Caputa

Stanisław Soszyński

## Sosna

Przemień mnie Panie  
w sosnę  
niechaj wysoko wyrosnę  
nad moją ludzką małość  
Daj Panie rękę drwala  
co ścina i  
ocala drzewo  
Przed śmiercią w próchnie  
Przemień mnie Panie  
w kartę  
niech będę jak podarte  
strzępy  
miłosnej Pieśni  
Ty Panie wiesz dlaczego  
ta plama krwi  
na śniegu  
stworzenia co ufało  
Przemień mnie Panie w sosnę  
i zetnij  
gdy wyrosnę  
moje drewniane ciało

## Informacje lokalne

## Sprawy Lokalne

Konsulat Generalny  
Rzeczypospolitej Polskiej  
w Vancouver  
1177 West Hastings Street,  
Suite 1600 Vancouver, BC,  
V6E 2K3  
Tel: 604-688-4730;  
604-688-3530  
Tel. alarmowy: 778-859-7615  
Fax: 604-688-3537  
e-mail: polconvan@rbs.rogers.com  
Godziny przyjęć interesantów:  
poniedziałki, wtorki, czwartki,  
piątki: 10.00 - 13.00  
środy: 13:00-16:00  
Zgodnie z nowymi przepisami  
o paszport można aplikować  
wyłącznie osobiście (dotyczy  
także dzieci) w KG RP w Van-  
couver.

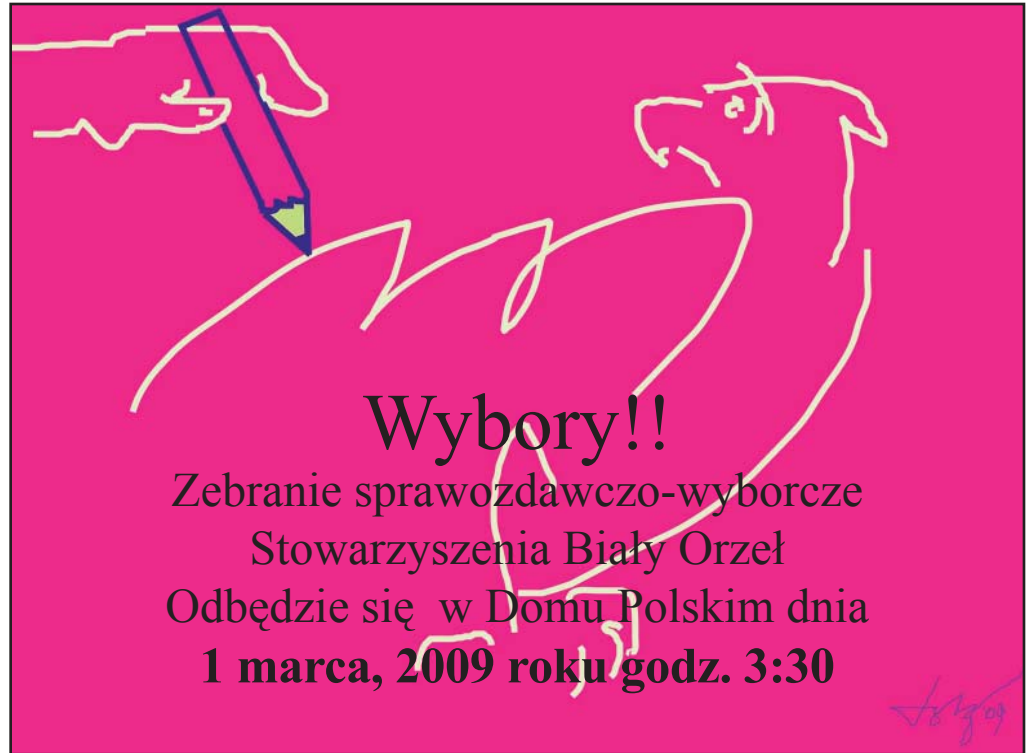
Msza Św. w języku polskim  
celebrowana jest w Kościele  
Sacred Heart, 4040 Nelthorpe  
w niedzielę, o 12:30.

Lekcje w Szkole Polskiej  
odbywają się w soboty o  
10:30 w Domu Polskim

Polska audycja **Radio na 102**  
CFUV 101.99 FM w niedzielę  
o godzinie 10 rano.

Biblioteka w Polskim Domu  
czynna jest we wtorki  
(1-2:30) i w soboty (10-12)

Seniorzy w spotykają się  
w Polskim Domu we wtorki  
(1-3).



Kończy się kadencja obecnego zarządu Stowarzyszenia Polaków Biały Orzeł.

Należałoby, więc podsumować pracę grupy ludzi, którym na sercu leży dobro stowarzyszenia, kultywowanie polskości i utrzymywanie Domu Polskiego w dobrym stanie.

Dom Polski od sześćdziesięciu lat bez mała jest miejscem spotkań polonijnej społeczności w Victorii. Stary, budowany z wtórnych materiałów budynek wymaga remontów, które zostały już rozpoczęte. Po roku pertraktacji zarząd otrzymał nieoficjalną informację z Gaming Commission że dofinansowanie dla naszej organizacji zostało na razie wstrzymane, gdyż dysponujemy zbyt dużą kwotą pieniędzy, która leży na długoterminowym koncie. Są to pieniądze przeznaczone na remonty, które zaczęliśmy już przeprowadzać: w najbliższych dniach nastąpi wymiana systemu ogrzewczego w górnej sali; niebawem też przystępujemy do remontu górnej kuchni. To dopiero początki, na który tylko częściowo posiadamy fundusze. Większość robót musimy wykonać we własnym zakresie lub zatrudniając fachowców na zapłacenie których potrzebne są środki, które musimy sobie sami wypracować. I tu ktoś może zapytać, dlaczego dopiero teraz podejmujemy decyzje o poważnych wydatkach na renowację? Otóż przez cały rok mieliśmy związane ręce spo-

wodowane niejasną sytuacją z Gaming Commission. Dopiero teraz *de facto* wiemy, aby utrzymać Polski Dom, musimy liczyć przede wszystkim na siebie.

-- *Musimy się stać samowystarczalni - twierdzi prezes Stowarzyszenia, Jarka Piecuch.*

-- *Rok bieżący powinien być rokiem wydawania oraz rokiem zarabiania. Mądrze wydane pieniądze powinny być pomocne w wypracowaniu planu na powiększenie dochodu Stowarzyszenia.*

Najłatwiej zarobić pieniądze na jedzeniu, lepiąc gołąbki i pierogi, więc potrzeba ludzi do pracy w kuchni, ale potrzeba też wolontariuszy do innych czynności jak malowanie, czy dekorowanie sali, zrobienie generalnych porządków w kuchni na dole i wielu innych miejscach. Obecny zarząd wiele musiał się nauczyć i poznać metody działania Stowarzyszenia. Jarka Piecuch, prezes Stowarzyszenia, rozpoczęła nową erę w jego działalności. Miejmy nadzieję, że nowy zarząd będzie kontynuował linię postępowania zmierzającą do tego, by polska społeczność w Victorii stała się dostrzegalnym elementem w krajobrazie miasta, a jej siedzibą był Dom Polski. Wszystko to jednak zależy od nas samych, a więc również od frekwencji na zbliżających się wyborach i mądrze podjętych decyzjach..

(ECK)

## Felieton

Edward Kamiński

## Z PRZEPOWIEDNI POWIKŁANIA KONIEC ŚWIATA SIĘ WYŁANIA

Sądząc po tym jak szeroka publiczność czytelnicza łącznie wszelakiego rodzaju sensacji na temat katastrof i kataklizmów, lubimy się nieco postraszyć. Początek roku jest ku temu porą jak najbardziej odpowiednią, obfitującą wzmogoną erupcją różnych przepowiedni dotyczących końca świata. Powinien nastąpić i to już kilka razy. Niektórzy zdążyli się już z tym oswoić i potrzebują wzmoczonej dawki podniety

.Powszechnie znanym, dawnym wizjonerem jest Michel Nostradamus (1503 – 1566), lekarz francuski na dworze Katarzyny Medycejskiej. Ponoć dworzanie nazywali go pijakiem stąd, że wygłaszał i pisał swe rzekome prorocтва w kalendarzu astrologicznym niezrozumiałym językiem jak po kielichu, „wskazującym na spożycie.” Większy prestiż przysporzyła mu śmierć francuskiego króla Henryka II, którą wcześniej przewidział i ostrzegł monarchę przepowiednią: „*Młody lew pokona starego na polu walki w pojedynku; utkwii oczy swoje w ich złotej klatce, dwie rany w jednej; po czym skona okrutną śmiercią.*” 1 lipca 1559 roku, król w zbroi i poślacanej przyłbicy pojedynkował się w turnieju z młodym rycerzem. Lanca przeciwnika ugodziła władcę w oko, pękła na dwoje i jej odłamek utkwiał w krtani. Monarcha skonał w męczarniach po kilku dniach.

Z blisko tysiąca prorocत्व pisanych czterowierszem jak w malglinie nikomu dotąd nie udało się odszyfrować całkowicie zawikłanej symboliki przepowiedni. Przewidywania Nostradamusa można, więc interpretować dowolnie i dopasować do wszystkich klęsk wody i ognia, wojen i katastrof w każdym czasie, przeszłym i przyszłym. Po atakach na bliźniacze wieże WTC w Nowym Jorku też mówiono, że Nostradamus to przewidział, po czym Amerykanie masowo wykupywali książki z jego prorocत्वami. Co poniektórzy odczytywali z nich kto i z kim wygra mistrzostwa w futbolu i koszykówce na Florydzie.

Podobnie przed rokiem 2000, w którym miał nastąpić koniec świata, z\_pótek księgarń znikły prorocтва Sybilli, królowej Saby, Pytii i Kasandry. Mormoni ogłosili nawet,

że nie przyjmują już nowych wyznawców. Jest już za późno, kto się „nie załapał”, nie będzie zbawiony. W metrze i centrum Warszawy osobnicy „pełni wiary” wciskali przechodniom ulotki z ofertami swoich kościołów. *Koniec jest już bliski. Jest to ostatnia szansa na zapewnienie sobie zbawienia.* Problematyczny był tylko wybór odpowiedniej sekty, bo każda podawała, że tylko ona chroni przed potępieniem wiecznym.

Zagłada w roku 2000 nie sprawdziła się. Przypuszczalnie w prorocत्वach przeoczono fakt, że w naszym roku dwutysięcznym u Chińczyków minęło już ponad 4700 lat, wobec czego przepowiednia ich nie obowiązuje. Bez nich nie może być końca świata, bo „Chińczyki trzymają się mocno”.

Nie licząc Jihadu, świętej wojny wyznawców Allaha, na rok bieżący nie przewidziano nic szczególnego. Za to rok 2012 ma obfitować w podniecające atrakcje. Niezależnie od Nostradamusa, tak zwane prorocтво Oriona przewiduje wiele katastrofalnych wydarzeń. Z powodu szczególnego układu planet, zdarzającego się raz na 12 tysięcy lat, dokładnie 12 grudnia 2012 r. góry poruszają się, morza wyleją, wyłonią się nowe lądy, a część ziem znajdzie się na dnie oceanów. Jedyną korzyścią będą mniejsze zadłużenia na kartach kredytowych w zakupach przedświątecznych. Wiedzieli też o tym, (nie o kartach kredytowych a spodziewanych zjawiskach) Majowie. W ich kalendarzu z tym dniem kończy się cykl życia planety zwanej „światem”; zaczyna się kolejny cykl „świata” i rozwoju ludzkości.

W tak interesującym zestawie wizji godzi się napomknąć o wróżbach Amerykanina Edgara Cayce (1877 – 1945r.) zwanego „Śpiącym prorokiem”. Podobnie jak dziś Al Gore przewidywał, że przełom tysiącleci to początek końca. Topniejące lodowce na biegunach zatopią wybrzeża Ameryki. Los Angeles, San Francisco, Nowy Jork zaleje woda. Z powierzchni ziemi zniknie Japonia. O tym ostatnim Gore jeszcze nie wspominał, by nie wzbudzić paniki do czasu aż Ford, GM i Chrysler zaczną produkować lepsze samochody od Toyoty i Hondy.

Jasnowidz, Francuz Mario de Sabato urodzony w 1933 roku przewidywał masową imigrację Chińczyków na Zachód i bezkruwawy podbój Europy, ale ma to dopiero nastąpić. Można jednak stwierdzić, że podbój już się zaczął. Na razie w sklepach z większością towarów ‘*made in China*’ i nie tylko w Europie, ale i na naszym kontynencie. Przewidział upadek ZSRR. Ciekawe, że nikt nie zapowiedział olbrzymiego tsunami, który zdewastował w 2004 r. wybrzeża Tajlandii, ani pożarów w Australii i Kalifornii?

W krótkim przeglądzie jasnowidztwa nie powinno zabraknąć konkurencyjnych Objawień Fatimskich. W przeciwieństwie od wszystkich innych, uznane przez kościół katolicki – są prawdziwe. Trzecia Tajemnica Fatimska mówi o księdzu w białej, przygniecionym bólem i troską, który u stóp krzyża ginie przeszyty strzałami nieprzyjaciół. W tej wizji Matka Boska ostrzegała Jana Pawła II przed zamachem na jego życie. Jednak papież postrzelony 13 maja 1981 roku ocalał. Pojawiła się, więc nowa wersja o bracie Rogerze, twórcy Wspólnoty z Taize. Podobnie ubierał się na biało, był wielce zatroskany. Zginął przeszyty pchnięciem noża 16 sierpnia 2005 roku.

Próby przewidywania przyszłości naukowo pojawiły się w roku 1949, gdy nową dyscyplinę nazwał futurologią niemiecki profesor, Ossip Kurt Flechtheim (1909 – 1998). W rzeczywistość działalność zaczęła się dopiero 19 lat później. W Francji powołano wówczas grupę „Roku 1985”, która miała wytyczać kierunki przyszłości kraju. W wielkiej Brytanii powstał projekt „Mankind 2000”, a w USA w 1965 r. „Komisja Roku 2000” zwana RAND Corporation. W Polsce przyszłością parał się „Komitet Badań i Prognoz Polska 2000”. Nowe placówki finansowane przez państwa szybko straciły obiektywność naukową. Podpierały raczej status władzy. W USA umacniały wizję dobroczynnego kapitalizmu, a w krajach bloku sowieckiego jedynie słusznego systemu komunistycznego.

Postęp wiedzy o naszym globie i kosmosie rozciąga przed nami fascynujące możliwości. Koniec świata może nastąpić na kilka sposobów. Wybór nie leży jednak w naszych, ludzkich możliwościach. Siła wyższa chce nam spłatać niespodziankę ze spodziewanego zestawu kataklizmów.

Poczesne miejsce w super-katastrofach przypada gigantycznym super-wulkanom,

przy których zwykłe kratery, są jak małe wypryski na skorupie ziemskiej. Jeszcze pół wieku temu były nierozpoznane. Nie wyglądają, bowiem jak góry z kraterami, ale jak olbrzymie rozpadliny o średnicy 60 – 70 kilometrów, widoczne z kosmosu. Znanych jest pięć: Caldera w Long Valley w Kalifornii, Toba na Sumatrze, Taupo na nowozelandzkiej Wyspie Północnej, Island Park w stanie Idaho i Park Narodowy Yellowstone w Wyoming. Wszystkie są w letargu prócz w Yellowstone. Cztery lata temu ziemia tam, w niektórych miejscach, zaczęła podnosić się o 7 cm rocznie. Oznacza to, że ciśnienie lawy, nie znajdując ujścia, stale rośnie. Jest to swego rodzaju gigantyczna bomba z opóźnionym zapłonem. Wybuch może być tysiąc razy silniejszy od erupcji zwykłego wulkanu. Słup rozgrzanego gazu i popiołu z naddźwiękową prędkością dosięgnie stratosfery. Zapadająca się skorupa ziemi, jak dach domu bez podpór, spadając się wywoła dodatkowe wyrzucenie w powietrze lawy, gazów i popiołu. Fala uderzeniowa zmiecie wszystko aż po Meksyk. Słońce przesłonięte pyłem zniknie na wiele miesięcy powodując katastrofalne obniżenie temperatury o kilkanaście stopni na całym globie. Może dojść do całkowitej zagłady życia.

Zderzenie asteroidu z Ziemią to interesujący temat rozmów nie tylko w kołach towarzyskich, ale i astronomicznych. Koniec rodzaju ludzkiego wywołany taką kolizją może nastąpić, podobnie jak nastąpiła zagłada dinozaurów 60 milion lat temu. W miarę udoskonalanych obserwacji nieba widać, że prawdopodobieństwo kataklizmu jest coraz większe. Jeden z asteroidów odkryty niedawno, dwa razy do roku przecina orbitę ziemską. Spodziewany jest wkrótce jego przelot w krytycznej odległości. Temat ten zasługuje jednak na oddzielny elaborat. Jeśli zdążymy ( Strony ukazują się tylko raz w miesiącu) o asteroidach opowiemy obszerniej w jednym z kolejnych numerów pisma.

Współcześni fizycy głowią się nad teorią wzajemnych zależności czterech sił natury: energii elektro-magnetycznej, silnej i słabej energii atomowej oraz grawitacji. Licho wie, co to jest słaba energia atomowa, bo nawet słaba wydaje mi się o wiele za silna. Natomiast fizycy mają trudności z grawitacją. Trwają dociekania czy najmniejsza znana obecnie cząsteczka materii – proton – może ulec zniszczeniu. W szkole uczono nas, że atom

jest najmniejszy i niepodzielny. Od tego czasu rozbito go kilka razy na mniejsze kawałki. Dla nas nie ma znaczenia, co jest najmniejsze, bo zobaczyć się nie da. Dla fizyków jest ważne. Oszacowano, że cały wszechświat zawiera 10 do 79-tej potęgi protonów. Zbudowany, olbrzymi super - detektor Kamiokande pod górą Kamioka w Japonii zawiera 45 tys. ton wody, w której ma być przyłapany z kosmosu przynajmniej jeden proton ze strumieni przenikających góry i oceany bez żadnych przeszkód. Twierdzą, że zniszczenie protonu zaprzeczy teorii niezniszczalności energii, a tym samym oznacza, że cały wszechświat może ulec zagładzie. Zniknie, nul, zero, wykreślony z rejestru na zawsze. Obliczono nawet, że może to nastąpić 2,5 raza 10 do 32-giej potęgi lat. Inaczej mówiąc około dziesięć quintylionów razy obecnego wieku wszechświata, obliczanego na czternaście miliardów lat. Wydaje się, że pozostaje nam jeszcze trochę czasu. Znacznie wcześniej może nastąpić koniec świata po eksplozji gwiazdy Super Nowa. Jest kilka kandydatów do wielkiego wybuchu w pobliżu naszej Ziemi. Jeden z nich to czerwony super - gigant - gwiazda Betelgeuse w konstelacji Oriona. Może zasypać nas zabójczymi promieniami radioaktywnymi.

W ostatnich latach teleskop na orbicie ziemskiej do śledzenia źródeł promieni gamma, odkrył następny sposób na unicestwienie populacji ziemskiej. Możemy być usmażeni jak frytki, jeśli jeden z zauważonych w kosmosie siewców tych promieni przeleci w pobliżu Ziemi. Te zagadkowe ciała zawierają niesamowitą energię. W ciągu kilku sekund emitują więcej energii, niż cała galaktyka rocznie. Nasza atmosfera nie powstrzyma tak zmasowanej dawki śmiertcionośnych promieni.

Do kolekcji zagrażających nam niespodzianek kosmosu trzeba dodać nadmierną lub obniżoną aktywność słońca. W pierwszym wypadku gigantyczny wybuch, o wiele silniejszy od erupcji dotąd obserwowanych na słońcu, upiecze naszą planetę w kilka godzin. Natomiast w drugim wypadku nastąpi globalne zlodowacenie.

Nadzwyczajny kataklizm może spowodować przeprowadzany obecnie eksperyment naukowy w Europejskim Centrum Badań Jądrowych CERN pod Genewą w Szwajcarii. Zespół fizyków z dwudziestu państw europejskich zamierza lepiej poznać początki naszego Wszechświata. W tym celu zbudowano

tam Wielki Zderzacz Hadronów(HLC), który ma przyspieszać cząstki elementarne do 99.99 Procent prędkości światła. Jest to największa maszyna kiedykolwiek zbudowana przez człowieka. Dość wymieniść długość 26 659 metrów podziemnego tunelu akceleratora. Budżet programu do roku 2013 przekracza 50 miliardów euro. Pomijam definicję cząstek elementarnych, są to, bowiem zawiłości fizyki kwantowej, zrozumiałe naukowcom z najwyższej półki. Ponadto – muszę wyznać – w moich czasach gimnazjalnych miałem lepsze stopnie z gimnastyki. Otóż, jak donosi z Moskwy „Ogoniok” z 18 sierpnia ubiegłego roku, niektórzy uczeni uważają, że eksperyment ten może mieć nieobliczalne skutki. Zderzenia przyspieszonych cząstek elementarnych mogą spowodować powstanie czarnej dziury, która pochłonie naszą Ziemię. W eksperymencie tym nie uczestniczą Rosjanie. Jeżeli są to naukowcy z tych czasów, kiedy usiłowano połączyć węża z jeżem dla otrzymania drutu kolczastego dla gułagów, radziłbym ostrzeżenia nie traktować poważnie.

Przed napisaniem tych okropności rozmawiałem na ich temat w zaprzyjaźnionym gronie. Zarzucono mi, że żartobliwy ton nie licuje z tak gigantycznymi kataklizmami. Drogi czytelniku, jeśli myślisz podobnie, wyobraź sobie, że leżysz na pięknej, rozległej plaży gdzieś na Karaibach. Lazur nieba, złocisty piasek, rozkoszne lenistwo. W pewnej chwili powiew zefirku unosi do oceanu jedno ziarenko piasku. Ziarenko to mniej niż odpowiednik naszej kuli ziemskiej w kosmosie. Miliardy galaktyk; w każdej miliardy gwiazd, planet i cokolwiek tam jeszcze. Czy w tej nieskończonej przestrzeni ubytek jednego globu ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy jest to obiekt zasługujący na poważne potraktowanie? Chyba, że słońce nadal krąży wokół Ziemi.



## Reportaż

# Radio na 102

Grażyna Sommerfeld podczas prowadzenia niedzielnej audycji.



Jest niedziela 10 rano. Włączam radio. Po chwili trzasków rozlega się Chopinowski Polonez.

Gdzieś w drugiej części Victorii, na kampusie uniwersytetu, w studiu radia CFUV, przed mikrofonem, przy konsolce przypominającej pulpit w statku kosmicznym, z słuchawkami na uszach siedzi szczupła kobieta o szerokim uśmiechu.

Polonez cichnie; **'Dzień dobry państwu, wita państwa w niedzielny poranek Grażyna Sommerfeld...'**

Godzina z 'Radiem na 102' to mój niedzielny rytuał. Zawsze wiąże się z nim pewna tajemnica, co będzie w kolejnym programie?

Program ma swoją podstawową ramówkę w obrębie której układa się przygotowany przez Grażynę materiał słowny i muzyczny. Audycje dotyczą różnych tematów związanych z kulturą i sztuką, muzyką lub literaturą, z życiem w Kanadzie i w Polsce. Bywają poważne lub żartobliwe, o rzeczach małych, sprawach zwyczajnych, ale również poruszają sprawy ważnych światowych lub polskich wydarzeń. Czasem są celebracją jakiejś narodowej rocznicy lub kanadyjskiego święta, to znów pożegnaniem kogoś ze świata

kultury lub środowiska. Najczęściej Grażyna prowadzi całą audycję sama, bywa jednak, że zaprasza do studia gości na wywiady. Czasem prezentuje programy zrobione przez innych: Darek Galon przygotowuje felietony o polskiej muzyce jazzowej i klasycznej, a Monika Kuc pogadanki o sztuce. W większości audycje prowadzone są po polsku, ale zdarza się, że gość w studio pochodzi spoza polskojęzycznego kręgu, ale ma tak ważne i ciekawe rzeczy do opowiedzenia, że cały program odbywa się po angielsku. Najczęściej jednak programy związane są z polską tematyką, gdyż Grażyna wierzy, że *'...Obojętnie gdzie się mieszka, polskość należy pielęgnować, bo w nią są wrosnięte nasze korzenie, które dają nam soki. Możemy być obywatelami innego kraju, ale w sercu zawsze będziemy Polakami.'*

To właśnie z potrzeby ekspresji w swoim rodzimym języku Grażyna zainteresowała się pracą w radiu. Opowiadała mi o tym, gdy spotkałam się z nią w studio radiowym któregoś niedzieli.

*-- To było 11 lat temu. Byłam wówczas w Kanadzie zaledwie od kilkunastu tygodni - uczyłam się angielskiego. Świat, w którym żyłam*

*był przerażająco obcy. Nie umiałam się porozumieć. Czułam się okropnie. Co tydzień słuchałam polskiej audycji prowadzonej przez Urszulę Zielińską. Przywiozłam z Polski do Kanady dużo polskiej muzyki, więc zaproponowałam Urszuli, że jej pomogę. Dała mi piętnaście minut w swoim programie i tak zaczęło się Radio na 102.*

Po jakimś czasie Urszula wyjechała do Polski powierzając Grażynie prowadzenie całej audycji. Szybko okazało się, że Grażyna to urodzony radiowiec z dużym talentem.

Odtąd radio stało się jej cotygodniową społeczną pracą na rzecz polskiej społeczności, ale również stałym elementem w jej życiu, które ulegało przez 11 lat wielu przemianom: zmieniała stan cywilny, zawody, mieszkania. Okoliczności się zmieniały, tylko radio było stałym wyznacznikiem rytmu jej życia.

W prowadzeniu audycji pomaga jej nie tylko, że jest z wykształcenia polonistką, ale również fakt, że lubi występować. Od dziecka żyła ze sceną Grażyna umie używać głos i znakomicie czyta, recytuje i robi to z naturalną swobodą.

*– Mam występować i recytowanie we krwi. Wszystkie moje ciotki w rodzinie były recytatorkami. Zaczęłam recytować wiersze na rodzinnych uroczystościach, a pierwszy publiczny występ miałam w wieku 6 lat. Mój tata mnie nagrywał. Mam te nagrania do dzisiaj. Lubię występować i występy organizować. Wiele się nauczyłam na warsztatach teatralnych w Toruniu. Na tych warsztatach nauczyłam się techniki, emisji głosu, aktorstwa i organizacji widowisk.*

Te umiejętności przydały się Grażynie niedawno, przy produkcji w Polskim Domu widowiska z okazji 90-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Program był zupełnie inny niż wszystkie dotychczasowe prezentowane w Domu Polskim

## Felieton

akademii, miał, bowiem charakter prezentacji multimedialnej. Widzowie usadowieni w rzędach, jak w teatrze, siedzieli w milczeniu z przejęciem oglądając fragmenty archiwalnych filmów dokumentalnych pokazujących wydarzenia z początków ubiegłego wieku. Filmy dopełniane komentarzami Grażyny, recytacjami pani Anny Galon oraz pieśniami patriotycznymi w wykonaniu zespołu „Cepry”, wyraziście pokazywały chwile powstawania II Rzeczypospolitej.

W produkcję tego programu zaangażowanych było kilka osób, między innymi scenografię zrobiła Monika Kurc. W pracę włączona była też siostra Grażyny, Danuta, Sommerfeld, która serwowała po sieci w poszukiwaniu filmowych materiałów. Danuta tak jak i Grażyna ma dobry staż w pracy organizatora i reżysera, obie zawdzięczają to swojej mamie i swojej nauczycielce.

-- *Gdy przygotowywałam jakąś imprezę to cała moja rodzina była w to zaangażowana i moja mama wie ile to pracy, więc jak się dowiedziała, że będę prowadzić polską audycję, to prosiła żeby jej przyrzec, że nie będę się angażowała w pracę w Polskim Domu przy organizowaniu akademii. Dlatego, nigdy przedtem tego nie robiłam. Już przygotowywanie audycji zabiera dość sporo mojego wolnego czasu.*

Audycja polska trwa tylko godzinę, praca nad audycją trwa cały tydzień. Każda ciekawa sprawa, zdarzenie na ulicy, zasłyszana anegdota, może przecież stać się inspiracją do kolejnego programu.

-- *Cały tydzień żyję z myślą o programie. Książki czytam już rutynowo z ołówkiem w ręku, przecież zawsze może się przydać coś do audycji.*

Dla kobiety bussinesu prowadzącej własne spa, która pracuje sześć dni w tygodniu po osiem godzin, ale też lubi tańczyć, wspinać się, czytać, redagowanie programu to jakby dodatkowa praca. Dlatego sobotnie

wieczory zamiast w teatrze, do którego uwielbia chodzić, Grażyna spędza w domu przygotowując się do programu, jaki pójdzie następnego dnia. Zajmuje jej to około czterech godzin. W niedzielę, gdy większość z nas pije poranna kawę, Grażyna w studio radiowym w uniwersyteckiej stacji radiowej CFUV, siada za konsolą i chopinowskim polonezem zaczyna kolejny program Radia na 102.

Ewa Caputa

\*\*\*

## List od słuchaczki

### DLACZEGO LUBIĘ RADIO GRAŻYNY?

Gdy Ewa Caputa poprosiła mnie o odpowiedź na pytanie, dlaczego lubię Radio Grażyny? – przypomniał mi się wiersz Szymborskiej „Niektórzy lubią poezję”. Że:

„lubi się także rosół z makaronem,  
lubi się komplementy i kolor niebieski,  
lubi się stary szalik,,,”

– Krótko mówiąc, że słowo „lubić” jest bardzo płynne i właściwie niewiele mówi.

Toteż moja odpowiedź na to pytanie brzmi: „Lubię” w odniesieniu do naszego polonijnego radia w Victorii jest stanowczo za słabe!

Oczywiście, że lubię – ale także – ogromnie cenię i podziwiam, i czuję głęboką wdzięczność i respekt dla „naszej Grażynki” za ten

cenny dar dla społeczności polskiej w Victorii (i nie tylko), jakim są jej znakomite cotygodniowe audycje.

Podziwu godna jest pomysłowość w tworzeniu programów, bogactwo i świetne, artystyczne opracowanie zawsze interesujących tematów, jakie przedstawia, oraz pełna werwy, humoru i wdzięku forma konferansjerki.

Cenię sobie bardzo stałe pozycje – jak „Ogłoszenia lokalne” i „Wiadomości” – ważne, a dla niektórych jedyne, źródło informacji o wydarzeniach w Kraju i w naszej Poloni...

...Pani Sommerfeld ma dar nawiązywania kontaktu z ludźmi i dzięki temu jej radio stanowi ważny punkt ogniskujący poczucie wspólnoty naszej społeczności.

Wszystko to razem sprawia, że audycje te są dla mnie – a z pewnością też i dla rzeszy innych wiernych słuchaczy – ważnym i gorąco oczekiwanym wydarzeniem każdego tygodnia.

Rozumiejąc że tak staranne opracowanie każdorazowego programu wymaga wielogodzinnej pracy i wysiłku, i zważywszy, że Pani Grażyna jest wszak osobą pracującą – jestem pełna podziwu dla jej tak pełnej poświęcenia i wytrwałej, w pełni bezinteresownej pracy podtrzymywania kultury narodowej w środowisku polonijnym.

W ubiegłym roku upłynęło dziesięciolecie jej chlubnej pracy. Piękny jubileusz! Wznoszę więc – niestety spóźniony, lecz niemniej serdeczny i entuzjastyczny – **toast: DZIEKUJEMY CI, KOCHANA GRAŻYNKO!**

Anna Galon

## Nasi wolontariusze



Od kilku lat pracuję społecznie na rzecz Polskiego Domu. Byłam już kucharką, bileterką, fotografem, sekretarzem, grafikiem i ‘chłopcem na posyłki’, więc wiem, że praca społeczna wymaga pewnej pokory i pochłania dużo czasu. Dom Polski musi się sam finansować, ale żeby tak było potrzeba ludzi do pracy. Rozumieją to członkowie Białego Orła, którzy od wielu lat pracują jako wolontariusze dla Polskiego Domu.

Najbardziej widoczni w tej pracy są dwaj panowie Edwin Muranko i Krzysztof Balanda. Są oni od lat zaangażowani w bezinteresowną pracę na rzecz Polskiego Domu. Jak każdy są zapracowani, zajęci swoim życiem i zainteresowaniami, a jednak zawsze, gdy ich potrzeba, znajdują czas dla pracy na rzecz Stowarzyszenia i dla.

Krzysztofa Balandę widziałam wiele razy w akcji: a to przy naprawie rynny lub dachu, albo w kuchni, w której często szefową jest jego żona Irena potrafiąca w trzy godziny przygotować obiad na 100 osób, czasem nawet bywa Św. Mikołajem.

Drugą niezastąpioną osobą jest Edwin Muranko. Można go nazwać prawą ręką prezesa Polskiego Domu. Pełni funkcję jego gospodarza. Zajmuje się wynajmowaniem Domu Polskiego na różnego rodzaju imprezy, załatwia fachowców do remontów, obiera ziemniaki, robi zakupy i jest pogotowiem ratunkowym ‘Stowarzyszenia’. Często się uśmiecha i można na niego liczyć, bo jest zawsze gotowy do pomocy. Jedną z ważniejszych imprez minionego roku, którą Edwin Muranko zorganizował był piknik polonijny który był wielkim sukcesem. (Och jak miło sobie w zimową szarugę pomarzyć o lecie.) Dziękujemy.

Oczywiście wiele jest pośród nas ludzi, którym należą się podziękowania za społeczną pracę, a więc uczynimy to w kolejnych numerach Stron.

Ewa Caputa

# Na opłatku



# Jasełka



# Arena



W latach pod koniec lat 60. i w latach 70. Wrocław stał się stolicą polskiego konceptualizmu. Pomimo trudnych warunków ustrojowych, klimat opieki nad sztuką wysoką, nową, inną, trudną w odbiorze, był tu wówczas dość dobry. Obszar, czasoprzestrzeń ówczesnej nowej sztuki wyznaczały dwie wrocławskie galerie: „Galeria Pod Moną Lizą” animowana od 1967 roku przez Jerzego Ludwińskiego oraz galeria Foto-Medium-Art, stworzona w 1976 roku przez Jerzego Olka. Pierwsza oparta była o wrocławski klub Międzynarodowej Prasy i Książki (tzw. MPiK), druga - oparta o istniejącą wcześniej Wrocławską Galerię Fotografii w Domku Romańskim. Obydwie wpisywały się w ówczesny obraz polskiej sztuki awangardowej, który poza Wrocławiem kreowany był przez warszawską galerię „Foksal”, „Galerię EL” w Elblągu i poznańską galerię „OdNowa”.

Artystyczny festiwal - „Symposium Plastyczne Wrocław '70”, miał być i - był - manifestacją sztuki nowej, konceptualizmu i poszukiwań eksperymentalnych w sztuce. W ramach festiwalu mogliśmy w 1970 roku oglądać wspaniałą „Kompozycję pionową nieograniczoną” Henryka Stażewskiego (piramidę ze smug, światel reflektorów rozpiętą nad miastem), projekt „Krzesała” Kantora (zrealizowane później przy autostradzie koło Oslo), „Neutodrom” Jerzego Rosołowicza, „Archeologię Festung Breslau” Zbigniewa Makarewicza i Ernesta Niemczyka, „Arenę” Jerzego Beresia i wiele innych. Część z nich - zgodnie z resztą z istotą konceptualizmu (ale też i braku odwagi decydentów) - tylko w zamiarach, w koncepcjach i projektach.

„Arena” Beresia nigdy nie powstała dokładnie według projektu autora. A miało być to koło o średnicy 25 m z centralnie umieszczoną „jednoosobową ławką” bez oparcia. W polu północnym tego kręgu miało stać wkopane koroną w dół - stare drzewo. Od południa autor planował posadzenie kilku młodych drzew tego samego gatunku. Wkopano tylko to jedno drzewo, koroną do ziemi.



„Arena” została po cichu zlikwidowana podczas przyjazdu

Jana Pawła II do Wrocławia - przeszkadzałyby w lądowaniu helikoptera z Papieżem. Pod koniec lat 90. grupa zapaleńców, dziennikarzy, lokalnych fanatyków sztuki, postanowiła przywrócić jej istnienie. Uroczyście odsłonięto „Arenę” po raz drugi, z udziałem Jerzego Beresia.

Drzewo z dramatycznie poskręcanymi korzeniami stoi do dziś, nadal słabo chyba rozpoznawane jako dzieło sztuki lat 70. Obecnie okoliczny teren jest w trakcie porządkowania i przebudowy - wrocławskie wyspy na Odrze znajdują się w centrum miasta, są ulubionym miejscem wrocławian. Wyspa „Piasek”, na której zlokalizowano „Arenę” to teren zielony (przed wojną była tu zabudowa). Obecnie coraz częściej mówi się o potrzebie i możliwościach inwestowania na wyspach, powstaje powoli współczesna architektura, ośrodki typu „marina” wykorzystujące bogatą geometrię rzeki w centrum miasta. Myślę, że „Arena” pozostanie i na nowo wpisze się w artystyczny krajobraz miasta.

Tadeusz Sawa-Borysławski

Tadeusz Sawa-Borysławski - ur. 1952 we Wrocławiu, architekt, artysta, grafik. W 1976 roku ukończył Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej. Jest czynnym architektem. Tworzy instalacje artystyczne oraz dokumentację pod nazwą „Geometrie chaosu”. Zajmuje się grafiką użytkową, rysunkiem i fotografią. Teksty krytyczne i teoretyczne publikuje w czasopiśmie artystycznych i architektonicznych.

## Ekologia

# Sadźmy Drzewa

### NA LIPE

Gościu, siądź pod moim liściem, a odpocznij sobie!

Nie dójdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,

Choć się nawyrzszej wzbije, a proste promienie

Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie.

Tu zawždy chłodne wiatry z pola zawiewają,

Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.

Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły

Biorą miód, który potym szlachci pańskie stoły.

A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,

Że człowiekowi łącno słodki sen przypadnie.

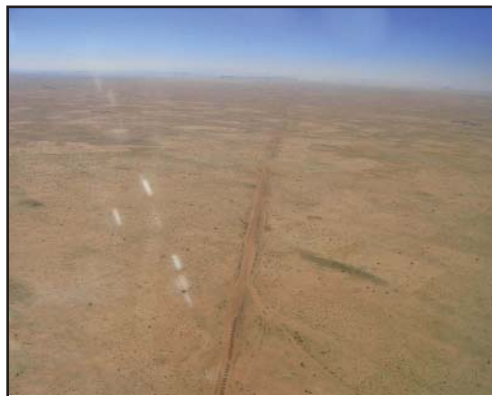
Jabłek wprawdzie nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie

Jako szczep napłodniejszy w hesperyjskim sadzie.

(JAN KOCHANOWSKI)

Życie ekologiczne stało naszym obowiązkiem. TV, radio i gazety bombardują nas informacjami na temat trwałych zniszczeń planety, których dokonujemy naszym codziennym produkowaniem dwutlenku węgla. Dziś już każde dziecko wie, że wodę i elektryczność trzeba oszczędzać, że samochody zanieczyszczają powietrze, a wycinanie lasu, choć dobre dla biznesu to bardzo jest szkodliwe dla środowiska. Drzewa trzeba sadzić, a nie niszczyć. Dlatego proponuję by każdy kto jeździ samochodem posadził w tym roku jedno drzewo. Będzie to odpowiedź na akcję zaproponowaną przez ONZ by posadzić na kuli ziemskiej miliard drzew.

Są elementem otaczającej nas natury, której



Afryka. Sudan. Ziemia bez drzew.

istnieje jest zagrożone. W imię ochrony środowiska powinniśmy zmienić nasze dotychczasowe nawyki.

Po latach rozrzutności, by zmniejszyć zużycie plastiku przechodzimy na torby wielokrotnego użytku. Powoli zaczęłam zmieniać stare nawyki. Ograniczyłam używanie ręczników jednorazowych, robię kompost, przestałam używać silne środki czyszczące, ale myślę sobie, że można przecież zrobić coś więcej, na przykład posadzić drzewo. To akt dobroci dla zniszczonej matki ziemi, ale też wielka przyjemność z posiadania drzewa płynąca. Człowiek sadzący drzewo nawiązuje z nim silny emocjonalny kontakt, a tak przecież było od zarania ludzkości. W czasach prastarych drzewa były traktowane jako obiekty sakralne. Do dziś drzewa wrasta swymi korzeniami nie tylko w glebę, ale również w ludzkie serce. No, bo któż nie kocha drzew. Ludzie się nimi zachwycają, poeci o nich piszą wiersze, a naukowcy uważają je za największe na ziemi źródło produkcji tlenu. Największe ze wszystkich ziemskich roślin drzewa stanowią nieodłączny element krajobrazu, czasem budzą tęsknotę i nostalgię, czasem są wyznacznikiem egzotyki, zawsze stanowią twórcze natchnienie dla artystów. Z drzew płyną wielorakie korzyści nie tylko natury estetycznej, ale jest też w nim ogromna świętość. W religiach świata i wierzenia różnych narodów drzewo zawsze było ścięte, było w nim sakrum, w religii chrześcijańskiej na przykład jest symbolem boskich praw. Być może, dlatego Pliniusz w swojej historii świata uważa, że drzewo stanowiło pierwszą świątynię człowieka. Stąd tak ważne w naszym życiu są drzewa. Ze smutkiem więc patrzę na te bezmyślnie wycinane, jak i te niszczone przez szkodniki i burze. Dlatego

posadzę jeszcze jedno drzewo w swoim dzikim ogrodzie i każdego namawiam do tego samego. Sadźmy drzewa, najlepiej takie, które pochodzą z tej ziemi. Będzie to z naszej strony akt szacunku dla niszczonej planety i dobry uczynek dla nas samych.

*A jeśli nie macie państwo ochoty bawić się w ogrodnika to w Internecie trwa kampania „Posadź drzewo”. To doskonała okazja, by odczuć na własnej skórze siłę akcji opartej na wirusowej propagacji. W pierwszym tygodniu od rozpoczęcia akcji: posadzono 70 tys. wirtualnych drzew, serwis zanotował 780 tys. unikalnych użytkowników, wszystko to bez jakiegokolwiek dodatkowego wsparcia marketingowego. Do dziś po wpisaniu w Google hasła „posadźdrzewo” pojawia się 189 tys. linków.*

Wejdź na <http://www.posadźdrzewo.pl/>, posadź swoje wirtualne drzewo. Za każde takie drzewo, firma Tetra Pak posadzi jedno prawdziwe. Jeśli roześlesz link drzewa swoim znajomym, a oni je odwiedzą, Twoje wirtualne drzewo urośnie.



„ Drzewa nie są zielenią:  
to nasi starsi bracia  
unieruchomieni...”

(ECK)

## Wspomnienia

*Poniższy tekst, to są wyjątki ze „Wspomnień” spisanych przez mojego ojca Stanisława Cieńskiego. Opisuje w nich udział jego i jego brata Ludomira w wojnie bolszewickiej. Służyli obaj w randze podporuczników w 6-tym pułku ułanów Kaniowskich, którym dowodził kuzyn ich ojca, Stefan Cieński. Pułk wchodził w skład VIII Dywizji, dowodzonej przez generała Krajewskiego, zresztą Czecha z armii austriackiej. Dywizja toczyła bardzo ciężkie walki z konną armią Budionnego, na terenach dawnej Małopolski Wschodniej. Za te walki, ojciec został odznaczony Krzyżem Walecznych.*

*Dla uproszczenia ojca podaję jako „Stacha”, a jego brata jako „Ludka”.*

W czasie kampanii bronią Stacha były dwa pistolety i szabla kawaleryjska. Jednym pistoletem był wielki ‘Mauzer’ wielostrzałowy, z futerałem drewnianym, który mógł służyć również jako kolba, po umocowaniu na nim pistoletu, co umożliwiało dalekie strzały. Mauzer ten był przypięty do siodła i stanowił świetną broń. Strzelał z niego już to z wolnej ręki, już to jako z karabinka. Drugim pistoletem był Brauning 7 mm, który zawsze nosił przy pasie

... Dostał Stach rozkaz odszukania 36 Brygady, która znajdowała się w pewnej odległości od walki o Dubno, które generał zamierzał zdobywać jeszcze tego samego dnia. Jechał więc z ułanami w wyznaczonym kierunku, przez teren lesisty i niezamieszkały.

Przejechawszy szereg kilometrów spotkałem gajowego w mundurze leśnika, Polaka, który poprowadził nas na szczyt dużego wzgórza, z którego roztaczał się rozległy widok na Dubno i daleką okolicę. Zostawiłem pluton ukryty w gęstwinie, a sam poszedłem z przewodnikiem pieszo na wierzchołek. To co ujrzałem przechodziło najśmielsze marzenia. Rzeczywiście, zobaczyłem pola, za nimi bagnistą dolinę i dalej Dubno. Ale równocześnie jak okiem sięgnąłem, na wszystkich dojazdach prowadzących do Dubna po drugiej stronie rzeki, panował ożywiony ruch wojsk bolszewickich. Dokładnie rozróżniałem artylerię i tabor, jednak wszędzie przeważały kolumny kawalerii.

Powziąłem postanowienie, by za

wszelką cenę odszukać pułkownika Hausnera i na to wzgórze ściągnąć jego działa. Dostawszy się na drogę z powrotem ruszyłem dalej w nadziei spotkania upragnionej brygady. Niedługo jechaliśmy w tym kierunku, kiedy za pagórkami zobaczyłem wznoszący się kurz. Wiedziałem, że ciągnie wojsko, ale musiałem się przekonać jakie. Niebawem w promieniach słońca, zaczęły ukazywać się pierwsze oddziały, a przez szkła zobaczyłem hełmy na ich głowach. Odetchnąłem z ulgą, teraz byłem pewny, że mam przed sobą poszukiwaną brygadę, bo bolszewickie wojska nigdy hełmów nie nosiło. Od razu odnalazłem dowódcę, któremu się zameldowałem i przedstawiłem sytuację i plany generała. Zadowolony był pułkownik Hausner i także wydał zaraz rozkaz jednej baterii by ruszyła za mną na wskazane wzgórze.

Nie łatwe było wywindowanie armat i wozów amunicyjnych poprzez wąskie drogi leśne na szczyt wzgórza. Było już późne popołudnie, kiedy powtórnie znaleźliśmy się na upragnionym miejscu. Chcę tu podkreślić wielką pomoc jaką mieliśmy od gajowego, który również zapalił się do tej operacji.

Kiedy jednak działa stanęły na pozycji i zaczęły wstrzeliwać się w drogi zatłoczone wojskami nieprzyjacielskimi, ogarnęło mnie nieopisane uczucie tryumfu. Artyleria nie oszczędzała amunicji, widząc bezpośrednio wynik swojego ognia. Granat za granatem, szrapnel za szrapnelem, leciały na zmasowane oddziały bolszewickie. Obserwowałem to, widząc jak na dłoni działanie każdego pocisku. Nieoceniona ośmiokrotna lornetka Zeissa przybliżała mi to widowisko, a ja wciąż myślałem, że to odwet za niepowodzenie poranne. Syciłem się tym widokiem i obserwując rozbite oddziały nieprzyjacielskie uciekające w popłochu, pokazywałem moim ułanom jak to groźny wróg umyka przed polskim wojskiem.

Przed wieczorem dołączyłem do naszego szwadronu i dowiedziałem się, że Dubno zostało zdobyte. Późna już była noc, kiedy w zajętych przed paru godzinami mieście układaliśmy się na spoczynek. Ciężki to był dzień, pełen emocji, wysiłków i niebezpieczeństw.”

...Następnego dnia przyszły dostawy do pułku, a wśród nich konie. Mógł więc Stach wybrać jednego dla siebie, bo dotychczas

jeździł na luzaku. Po oglądnięciu innych, zatrzymał się na szpaczce, trochę nerwowej klaczy, z domieszką krwi orientalnej.

„Miał to być najszczęśliwszy wybór, ulubienica moja, uratowała mi życie kilka razy.

Mówiło się, że każdy człowiek ma w życiu tylko po jednej okazji by wybrać:

1) najlepszą żonę, 2) najlepszego konia, 3) zrobić najlepszy interes. Jeśli instynkt zawiedzie, drugi raz los nie ponowi sposobności i trzeba się wówczas zadowolić namiastką. Zdaje się, że właśnie w tym wypadku Szpaczka była tym najlepszym koniem przeznaczonym mi przez los.”...W dwa dni później pułk miał odbić dwie wsie, zajęte przez Bolszewików. „Zostałem wezwany do stryja, który pokazał mi wieś Głowczyce odległe o jakieś 1 ½ kilometra, dając rozkaz szarży z pół szwadronem. ‘Jeżeli się uda, będziesz odznaczony, jeżeli nie wrócisz, powiem twojemu ojcu w jakich warunkach walczyłeś’.

Dumny byłem z powierzenia mi tej ważnej akcji, pierwszy raz dowodziłem dwoma plutonami. Sformowałem swój oddział, kazałem nabić karabiny i z sierżantem Wójtowiczem ruszyliśmy. Dojechawszy do szczytu pagórka gdzie zostaliśmy spostrzeżeni i wzięci pod silny ostrzał, ruszyliśmy ostrym galopem drogą przed siebie. Mniej więcej w połowie drogi po lewej stronie stało parę chałup. Tu zatrzymałem oddział dla wytchnienia i z za osłony, kazałem ułanom wystrzelać całe magazynki karabinków kawaleryjskich na frontowe budynki Gołowczyc, skąd nas ostrzeliwano.

Po nabiciu karabinków, ruszyliśmy pełnym galopem szarżą na wieś. To już była zaledwie chwilka, kiedy wpadliśmy do niej. Ja nie z szabłą, lecz z pistoletem w rękę strzelałem do uciekających Bolszewików. W pewnym momencie zobaczyłem karabin maszynowy nastawiony na nas, kilku przy nim żołnierzy miało ręce w górę podniesione. Po paru minutach Głowczyce zostały zajęte, kilkunastu jeńców stało w osłupieniu patrząc na nas. Sierżant zebrał pół szwadron, 5 ułanów brakowało.

Moja Szpaczka zdała pierwszy egzamin znakomicie, szła jak marzenie. Natychmiast wysłałem meldunek do dowódcy pułku.”

...W dwa dni później, Stach z kilkoma ułanami został wyznaczony na łącznika przy baterii artylerii polowej. Sytuacja pogarszała się stale i Bolszewicy poprzedniego dnia wyrzuceni za Ikwę, zaczęli przechodzić na drugą stronę, starając się otoczyć Dywizję. Bateria początkowo ostrzeliwała cele po przeciwnej stronie rzeki, wkrótce jednak zameldowano o pokazaniu się sotni kozackich na tyłach polskich. (Sotnią nazywano oddział Kozaków składający się ze stu jeźdźców.)

Było już późne popołudnie, kiedy dały się słyszeć bliskie strzały karabinowe od południa, to jest w plecach baterii. Pogałopowałem w tym kierunku, by przekonać się naocznie, że silne oddziały kawalerii nieprzyjacielskiej znajdują się nie dalej jak 2 kilometry od stanowiska baterii. W następnej minucie byłem już przy baterii, by jej dowódcy, porucznikowi Ungerowi o tym donieść. Zaledwie miało się tyle czasu, by działa zmieniły pozycję, kiedy na pagórku odległym o 2 kilometry ukazała się jazda bolszewicka w szarzy na naszą baterię.

Niezapomniany miałem widok. Siedząc na Szpaczce obok stojącego porucznika, widziałem w wyciągniętym galopie szarżujących Kozaków, krzyczących rozdzierającym głosem ‘Hurra, Hurra!’

Porucznik Unger stał spokojnie z lornetką przy oczach wydając rozkazy: ‘ogień pojedynczy granaty 19, 16, 14, 10, 8’, co oznaczało odległość w setkach metrów. Pociski padały w sam środek szarżujących, lub przed ich linią, wyrzucając wysoko w powietrze fontanny żółtej ziemi. Spokój dowódcy i obsługi dział wzbudzał podziw. A kiedy mimo strat, Kozacy zbliżyli się na tyle, że widać było wyraźnie pojedynczych jeźdźców i zaciśnięte w rękach szable, usłyszałem rozkaz ‘kartacze’. Wtedy to z luf dział bluznął ogień na bliskie już zwycięstwa watahy kozackie. Odjąłem szkła od oczu i patrzyłem co najbliższe sekundy przyniosą. Wyciągnąłem mój Mauzer gotowy do strzału.

Nie wytrzymały jednak nerwy szarżujących, choć już tylko sekundy dzieliły ich od zwycięstwa. Szeregi ich zatrzymały się, zakotłowały i zaczęła się ucieczka w rozsypce. Każdy ratował się jak mógł. Do tej chwili zmasowane w ataku konie rozbiegły się na wszystkie strony, a porucznik dalej nie odejmując szkieł od oczu dawał komendy:

‘granaty 8, 10, 12’ i tak, aż do chwili, kiedy nieprzyjacielscy jeźdźcy zniknęli za pagórkiem.

Zeskoczyłem z konia i z porucznikiem bez powiedzenia słowa uścisnęliśmy sobie ręce. Rozumieliśmy co każdy z nas przeżywał przed chwilą. Obsługa dział także dawała upust swojej radości.

Z moimi ułanami podjechałem oglądnać pole szarzy bolszewickiej, poszarpane lejami granatów, zasłane trupami Kozaków i koni, jak również sporą ilością rannych.”

W trzy tygodnie później, porucznik Unger został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Ta bitwa pod Horupaniem jest wymieniona na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie

#### Errata czyli kilka słów o pomyłkach

W ostatnim numerze Stron chochlik drukarski prawdziwie narozrabiał i poprzestawiał w stronach cyfry. Stąd wyniknęły same kłopoty, bo pomyłona została data urodzin Księdza Kwarty i jeszcze kilka innych dat. Poza tym autorka artykułu popełniła błąd polegający na nieprecyzyjności, gdyż napisała, że ksiądz Kwarta miał wytatuowane na ramieniu numery, podczas, gdy księżom hitlerowcy nie tatuowali numerów na ciele. Za pomyłki przepraszamy osoby zainteresowane oraz czytelników.

Ewa Caputa i Chochlik Drukarski.

#### STRONY

redaguje Ewa Caputa,  
ecaputa@shaw.ca,  
tel 250-220-1888.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów i nie ponosi odpowiedzialności za poglądy autorów.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Strony internetowe:  
<http://www.strony.ca>

Wojciech Banach

### Sypkie substancje

Trwa radosna seria uroczystych powitań

prawdziwi patrioci wracają do kraju najczęściej po wielomiesięcznych tułaczkach

przec co najmniej europejskie łyżki w objęciach bliskich i nagle zbliżonych z trudem Przypominają sobie sól język i pieczywo

w rewanzu wręczają z pietyzmem niezaprzeczone wkłady w kulturę narodową

na pochylone krajowe głowy przy każdej okazji szczerze sypią ziarnem prawdy zbawiennych rad i krytycznych ocen

a właściciele głów niecierpliwie czekają na antrakt aby w kularach sprawdzić co (przy)padło im na pulsujące ciemniaczka popiół czy lupież.

Wojciech Banach urodził się w 1953 roku w Bydgoszczy. Tu ukończył studia na Akademii Techniczno - Rolniczej, uzyskując tytuł inżyniera elektryka. Jako poeta zadebiutował w 1976 roku. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, obecnie w zarządzie oddziału bydgosko-toruńskiego. W plebiscycie czytelników “Gazety Wyborczej” Wojciech Banach został wybrany Artystą Roku 2002 w kategorii “literatura”. Jego twórczość jest związana z Bydgoszczą.

## List od czytelnika

## Jeszcze o Tarczy

Artykuł "Z Tarczą czy na Tarczy", opublikowany w numerze 7 „Stron”, czytany był poza granicami nie tylko Victorii, ale i Kanady. Zamieszczamy list do redakcji na ten temat od czytelnika z USA.

Przebywam w USA wystarczająco długo, by utwierdzić się w przekonaniu, że tu liczą się tylko interesy a nie sentymenty. Podobną lekcję udzielił Polsce w czasie II Wojny Światowej Winston Churchill. Politycy polscy wciąż jednak postrzegają Stany Zjednoczone jako dobrego „wujka Sama”, przynoszącego pokój i prosperitę. Wykazują naiwną wiarę w moc umów podpisywanych przez mężów stanu.

Do argumentów przeciwko proponowanemu układowi obrony antyrakietowej dodaję kilka uwag natury technicznej. Dość spojrzeć na globus by zauważyć, że najkrótsza droga z Iranu do wschodniego wybrzeża Stanów przebiega nad polskim Pomorzem, proponowanym na lokalizację bazy rakiet systemu *Tarcza*. Nie bez przyczyny wybrano, więc miejsce, idealne dla trajektorii rakiet przechwytyjących. Jest jednak i druga strona medalu. Lokalizacja bazy na Pomorzu skraca czas lotu rakiety do Moskwy do 5 minut, w porównaniu do 20 minut (z grubsza biorąc) potrzebnych do osiągnięcia celu z terytorium USA. Tego właśnie obawiają się Rosjanie. Praktycznie rzecz biorąc, w pierwszym przypadku pozostałoby im najwyżej 2 minuty do odpalenia swoich rakiet obrony powietrznej.

W oficjalnych oświadczeniach, *Tarcza* służyć ma obronności Stanów Zjednoczonych. Jest zaprojektowana wyłącznie na przechwytywanie rakiet balistycznych w czasie lotu, a nie na atak na cele stacjonarne. Jest to oczywisty nonsens; to jakby twierdzenie, że nie można trafić w tarczę strzelniczą z karabinka do strzelania rzutków. Użycie rakiet zależy tylko od zaprogramowania systemu nawigacji i sterowania zakodowanego w komputerze sterującym. Pozostaje tylko kwestia wyboru. Różnica w stopniu trudności naprowadzenia rakiety na cel stacjonarny,

a poruszający się z dużą prędkością po zmiennej trajektorii sprowadza się do stopnia zaawansowania kodów i szybkości przetwarzania danych. Wymianę głowicy z ładunkiem konwencjonalnym na nuklearny można porównać do zmiany szczotek w odkurzaczu.

Załóżmy, że system będzie nie do spenetrowania przez przeciwnika. Logicznie myśląc takim powinien być, dzięki elementom Tarczy rozmieszczonych w strategicznych punktach globu. Ale czyż z punktu widzenia przeciwnika nie należy zniszczyć militarne bazy Tarczy w pierwszej kolejności, by zrobić wyłom w systemie obrony? Jest, więc oczywiste, że godząc się na bazę rakietową w Polsce wystawiamy się na pierwsze uderzenie. USA zamierza zasłonić swoje podwórko cudzą pierśią i tym samym wystawia egzystencję polskiego narodu na zagładę. Zanim dojdzie do starcia dwóch mocarstw na pełną skalę, będziemy mieli 312 tys. kilometrów kwadratowych skażonej pustyni i garstkę napromieniowanych, którzy przeżyli. Bohater to niekoniecznie ten, który dał się zabić, ale ten, który uchronił innych. Rząd i prezydent Polski powinien przede wszystkim kierować się bezpieczeństwem kraju nad Wisłą.

Stany Zjednoczone mają 25 strategicznych baz militarnych w różnych stronach świata, zwłaszcza umiejscowionych od południowej strony granic Rosji. Ile jest pomniejszych instalacji wojskowych .... Kto wie? Pamiętamy czas, gdy w odpowiedzi na te poczynania, Chruszczow próbował zainstalować swoją bazę na Kubie. Amerykanie zostali zaalarmowani. Nie wiele brakowało do starcia nuklearnego. Nie byłem pro-sowiecki, ale nie zdziwiłem się reakcją Kremla.

Mam nadzieję, że odrzucenie przez Polskę i Unię Europejską propozycji rozmieszczenia elementów Tarczy w Europie zadecyduje o zmianie polityki Stanów Zjednoczonych. Nowy prezydent i administracja USA powrócą do praktyk dyplomatycznych.

Jerzy Michałowski, Chicago

## Komiks



## Literatura

Włodzimierz Kowalewski

## Legendy literackie

Lubimy legendy literackie. Może dlatego często powracają, nawet z długiego zapomnienia. Ostatnio Jerzy Sosnowski, pisarz oraz redaktor TVP Kultura, przypomniał na swoim blogu poruszający wiersz Ryszarda Milczewskiego-Bruno pt. „Pamiętasz”. Ukształtowany w zupełnie innej, „bruLlonowej” tradycji, Sosnowski przyznał się, że niewiele wie na temat postaci tego znanego niegdyś poety, autora kilku zbiorów wierszy, tragicznego bohatera ciężkich anegdot i ponurych opowieści. Wywiązała się internetowa dyskusja. Nie mogłem się nie włączyć. Trzydzieści lat temu byłem naocznym świadkiem jego śmierci.

Już same tytuły tomików – „Brzegiem słońca”, „Poboki”, „Gwizdy w obecność” – wskazują, że mamy do czynienia z „poezją drogi”. Ryszard Milczewski-Bruno, z zawodu technik-rolnik, nieustannie, wzdłuż i wszerz przemierzał polską prowincję szukając autentyczności i szczerości, źródeł życia, a u tzw. „prostego” człowieka – jakiejś idealnej czystości duszy. Bardzo to się podobało na ówczesnych salonach, a jeden z jego wierszy zaśpiewał nawet Marek Grechuta. Legenda literacka trochę na wyrost połączyła go również przyjaźnią z Edwardem Stachurą, za sprawą „kultowych” słów piosenki Stachury:

*Ruszaj się Bruno, idziemy na piwo, niechybnie  
brakuje tam nas!*

*Od stania w miejscu niejeden już zginął,  
Niejeden zginął już kwiat!*

Sam Bruno-Milczewskiego spotkałem już pod koniec, w najgorszym dla niego czasie. Ścieżki jego poetyckiej wędrówki wyraźnie się poplątały i pogubiły, żadnej szczerości i dobroci na nich nie znalazł. Bez rodziny, bez domu, umordowany biedą i alkoholem, pałętał się po Polsce od znajomego do znajomego, przemieszkował też kątem w toruńskich akademikach. Miał zaledwie trzydzieści osiem lat, a wyglądał na siedemdziesiąt. Trudno się było z nim porozumieć, wątpię, żeby cokolwiek jeszcze wtedy pisał. Zginął 17 maja 1979. roku w

Nowej Wsi Szlacheckiej niedaleko Torunia, w trakcie tradycyjnej imprezy literackiej – Toruńskiego Maja Poetyckiego. Rankiem tego dnia przyjechaliśmy wszyscy do znajdującego się tam pałacyku, własności Uniwersytetu, na sesję, planowany bankiet i koncert. W oczekiwaniu uczestnicy obsiedli niewielkie moło nad jeziorem – brzydkim, o smutnych, nagich brzegach. Wbrew powtarzanym, a później opisanym tu i ówdzie plotkom – nikt, łącznie z Brunem, nie był pijany. Bruno w pewnym momencie zrzucił ubranie, wszedł do wody w czerwonych skarpetkach i niebieskich slipach, błaznował, pluskał się, w końcu zaczął płynąć. Wszyscy krzyтели: „Wracaj, jest za zimno!”. Usłuchał, ale z wody nie wyszedł. Chłapał, podskakiwał, prychał, wreszcie odbił się i wypłynął jeszcze raz. Znowu krzyтелиśmy, żeby wracał. Usłyszeliśmy tylko głośnie: „Nie mogę!”, wyrzucił w górę rękę, woda zakotłowała się, zniknął. Skakaliśmy na ratunek. Bezskutecznie. Pod wodą było ciemno, głęboko, od razu poszedł na dno, najprawdopodobniej dostał zawału.

Nie wiem, dlaczego często wracam do tej historii. Może z powodu siły przeżycia, a może dlatego, że nie potrafię znaleźć dla niej puenty. Milczewski-Bruno i Edward Stachura, który popełnił samobójstwo dwa miesiące później, nigdy nie byli poetami „z mojej bajki”. Myśleli, że mocno trzymają się ziemi, szarego człowieka i rzeczywistości – a tak naprawdę byli ślepi, żyli złudzeniami, a rzeczywistość kpila z nich, ile wlezie. Nie potrafili rozpoznać, ocenić świata, który ich otaczał, a co dopiero z nim walczyć, kształtować, czy chociaż pokazać język.

Tak się przyjęło w naszej polskiej kulturze, że ci, którzy są słabi, ulegają, giną – wkraczają w sferę mitu i zyskują aureolę wielkości. To dobrze – w ten sposób zachowuje się pamięć, dostarcza wzorów wrażliwości czy choćby pytań na „długie nocne rodaków rozmowy”.

Ja jednak czekam, kiedy artystyczną legendą zostanie u nas ten, który zwycięża, kreuje, stawia na swoim.

Czy to w ogóle możliwe?

Włodzimierz Kowalewski - prozaik, krytyk literacki i felietonista radiowy. Urodził się 11 listopada 1956 roku w Olsztynku na Warmii i Mazurach.

Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Mieszka w Olsztynie, którego jest najwybitniejszym i najbardziej znanym we współczesnej polskiej literaturze piewą. Od wielu lat związany ze środowiskiem „Borussi” - stowarzyszenia i pisma (którego jest współredaktorem) zajmującego się opisywaniem i charakteryzowaniem wielokulturowego dziedzictwa dawnych Prus Wschodnich. Zawodowo pracuje jako nauczyciel języka polskiego w olsztyńskim II Liceum Ogólnokształcącym im. K.I. Gałczyńskiego.

W 1979 roku był współzałożycielem toruńskiej grupy poetyckiej „Zamek Nieszawski” propagującej, w geście sprzeciwu wobec upolityczniania życia i sztuki, zwrot ku tradycjom modernizmu. Debiutował tomikiem wierszy *Idę do Ciebie spod sklepionego łuku bramy* (Toruń 1981). W tym samym roku wydał również *arkusz poetycki Epoka przyćmiona* (Toruń). Jest autorem ‘Czterech opowiadań o śmierci’ (Bydgoszcz 1993), zbioru opowiadań ‘Powrót do Breitenheide’ (Olsztyn 1997, Warszawa 1998) oraz powieści ‘Bóg zapłac!’ (Warszawa 2000) i ‘Excentrycy’ (Warszawa 2007).

Warszawskie wydawnictwo W.A.B. przygotowało na sierpień 2003 zbiór opowiadań Włodzimierza Kowalewskiego „Światło i lęk. Opowiadania starej daty.”



## Walentynki

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

### Kto chce, bym go kochała

Kto chce, bym go kochała  
nie może być nigdy ponury  
i musi potrafić mnie unieść  
na rękę wysoko do góry.  
Kto chce, bym go kochała  
musi umieć siedzieć na ławce  
i przyglądać się bacznie robakom  
i każdej najmniejszej trawce.  
I musi też umieć ziewać  
kiedy pogrzeb przechodzi ulicą  
gdy na procesjach tłumy  
pobożne idą krzycząc.  
Lecz musi być za to wzruszony  
gdy na przykład kukułka kuka  
lub gdy dzieciół kuje zawzięcie  
w srebrzystą powłokę buka.  
Musiałby umieć pieska pogłaskać  
i mnie musi umieć pieścić  
i śmiać się, i na dzień siebie  
żyć słodkim snem bez treści  
i nie wiedzieć nic, jak ja nie wiem  
i milczeć w rozkosznej ciemności  
i być daleki od dobra  
i równie daleki od złości.

Jonasz Kofta

### Co to jest miłość

Co to jest miłość  
Nie wiem  
Ale to miłe  
Że chcę go mieć  
Dla siebie  
Na nie wiem  
Ile  
Gdzie mieszka miłość  
Nie wiem  
Może w uśmiechu  
Czasem ją słysząc  
W śpiewie  
A czasem  
W echu  
Co to jest miłość  
Powiedz  
Albo nic nie mów  
Ja chcę cię mieć  
Przy sobie  
I nie wiem  
Czemu

## WALENTYNKI W DOMU POLSKIM

Z ZESPOŁEM  
WHARF STREET BAND

14 LUTY, 2009 GODZ.20:30  
BAR OTWARTY O 20:00

BILETY \$10  
90 DOCK STREET, VICTORIA



## WALENTYNKOWE ŻYCZENIA

Posyłam kwiaty  
-niech powiedzą one  
To, czego usta nie mówią  
stęsknione!  
Co w sercu mego zostanie skrytości  
Wiecznym oddźwiękiem  
żału i miłości.

\*

Nie ma w tym wierszu  
piękna i słońca  
ale jest serce,  
które cię kocha  
bez końca.

\*

Jednemu ufać człowiekowi,  
to więcej niż posiadać świat.  
Miłość bez szczypty zaufania,  
to mniej niż domek z kart.

\*

Ja dla ciebie wszystko zrobię  
jeśli tego chcesz  
będę zawsze wciąż przy tobie  
dobrze o tym wiesz.

Czy cię lubię?  
owszem-trochę  
musisz jednak wiedzieć, że  
ja się w tobie -nie-  
zakocham, chociaż ty uparłeś się.  
Co ja widzę? Łezka w oczach!  
Taki duży, wstydź się, fe!  
Ja się w tobie nie zakocham,  
bo od dawna kocham cię.

\*

Za mało cię znam  
by ci mówić kocham.  
Za bardzo cię kocham,  
aby ci tego nie mówić.

\*

Gdy chłopaka masz mądrego  
chron go jak oka własnego  
chron przed burzą, śnieżną lawiną  
lecz najbardziej przed drugą  
dziewczyną.

\*

Mam wszelkie powody,  
żeby cię kochać i nie  
potrafię tego.